№ 82. Warszawa, dnia 30 Września / 11 Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

MIĘDZY ZIEMIĄ A NIEBEM.

FANTAZMAT.

Fala życia dla jednych jest gładka i cicha,
Jak golf, co melodyjnie szklaną piersią wzdycha,
Dla drugich ma skał żądła i paszcze otchłani,
Jak Charybda, okrutna marynarzów pani.
Ci, co widzą ją zawsze uśmiechami gładką,
W swoich ziemskich pacierzach mówią do niéj: [„matko!”
Drudzy płaczą na los swój i na srogość fali...

W owe dni, jam należał do tych co płakali.

Jako ptak, gdy go wicher w silne chwyci szpony,
Próżno z wrogiem tak szybkim pragnie iść w prze- [gony,
Próżno oko i piersi w stronę gniazda zwraca,
Nie zbawi go największa słabych skrzydeł pra- [ca—
Jako barka, gdy w burzy wiosła i ster złamie,
Choćby majtek najsilniéj wytężał swe ramię,
Choćby wzywał Madonny świętego imienia,
Musi błądzić tonąca wśród fal i zniszczenia,—
Jako ptak ów i barka, burzy ofiar dwoje,
Tak błąkało się wtenczas biedne serce moje...

Cały wszechświat i niebo widziałem za chmurą,
I życie miało dla mnie sfinksa twarz ponurą.
Gdym się zbliżał do hydry, co się światem zowie,
Ból przeszywał mi piersi niewydany w słowie,
I zimny dreszcz zwątpienia wstrząsał moją duszą.

Biedni, którzy skalpelem krajać życie muszą!

Gdybym poszedł gościńcem, którym gmin się [tłoczy,
Gdybym inne miał serce i odmienne oczy,
Gdyby gwiazdy poezyi nie drżały nademną,
Swiat byłby dla mnie lepszym, i ludzkość mniéj [ciemną,
Przepaści bym na każdym nie spotykał kroku—
Wszakże tygrys i sowa jasno widzą w mroku.

Zmęczony ziemską burzą, chciałem uciec od niéj
Do kraju, w którym słońce przyświeca pogodniéj,
W którym kwiaty fantazyi czarodziejskie rosną,
A ziemia poetyczna uśmiecha się wiosną.
Chciałem uciec, złamany ciężarem zwątpienia,
Z kraju jawy bolesnéj—do kraju marzenia!
Chęć ta, z razu spokojna, stała się namiętną—
I przyszedł do mnie anioł, co ma łzawe oczy,
Wianek z ciernia na czole, w twarzy bólu piętno,
I szepnął, że sznur widzeń czarownych roztoczy
Przed wzrokiem mym światłości łaknącym i wra- [żeń.

Więc dałem mu się z wiarą, a on mi na ramię
Dłoń położył, i szliśmy ku cudownéj bramie,
Która życiem gardzących wiedzie w państwo [marzeń.

Swiat odmieniał tu barwy. Droga była smutna,
Scianą skał przed wichrami obronna i wrzawą;
Czerniały nad nią jodły, wrzos wykwitał krwawo,
Między pniami pajęczyn wieszały się płótna,
A pnie i pajęczynę mrok zalewał wieczny.
Gdzieniegdzie, przez baldachim liści i gałązek
Słońce kwiatom rzucało garść świetlanych wią- [zek—
Lecz blask był księżycowy raczéj niż słoneczny,
I kwiaty te, od słońca biorące jałmużnę,
Raczéj grobu niż życia zdawały się płodem.—
Bór oddychał wilgotnym starych mogił chłodem,
Na skałach hieroglify bluszcz kreślił przeróżne,
I cisza na powietrzu była i na ziemi.

Szliśmy wciąż. Stopy nasze liść deptały suchy
Bez szmeru, że się zdało: powietrzne dwa duchy
Główki kwiatów skrzydłami muskają cichemi.
W milczeniu, smutnym wzrokiem biegnąc do [około,
Czułem, jak z zaciemnionéj złomów skalnych [głębi—
Idzie moc jakaś straszna i krew we mnie ziębi—
Więc jąłem trwożnym wzrokiem patrzeć w twarz [anioła....
A on ciesząc mnie mówił:—„Rzuć obawy płonne!
Na szlakach tajemniczych, co do raju wiodą,
Mrok leży, lecz wiosenną spłoszony pogodą
Znika daléj, gdzie kwiatów tchnienia płyną won- [ne,
I gdzie w blaskach słonecznych lśnią cudowne [wrota.
Pustynią Bóg rozgrodził świat marzeń i jawy,
Żeby na niéj duch ludzki zaświatów ciekawy
O ziemi stracił pamięć wprzód, nim jasność złota
Uderzy go jak Szawła, i do raju wwiedzie.
Nie drżyj więc.”
Tedy szedłem z udanym spokojem.

Gór czoła mrok już czarnym opasał zawojem,
Było cicho i pusto. Ognik biegł na przedzie,
Wężowe kreśląc drogi, i wabił za sobą,
Z rozpadlin pnie sterczały straszne jak widziadła,
Las mruczał..
Nagle, tęskność na duszę mi padła,
Tęskność wielka, i umysł zalał się żałobą,
Wstrzymałem krok i rzekłem: „Dość, nie pójdę [daléj.”

Anioł spojrzał z litosnym w oczy me uśmiechem
„Jeszcześ—szepnął—życiowym obciążony grze- [chem,
W piersi twéj oczyszczenia płomię się nie palił!”
A późniéj, wzrokiem w przestrzeń ulatując cie- [mną,
Wołał: „Niebios przedsionku! kraino światłości!
Edenie, w którym marząc, tłum wybrańców gości
Bądź pozdrowion! Twój obraz oto wstał przede- [mną...

Widzę: ziemię zalewa kwiatów potop wonny —
Z obłoków oko boże patrzy bez zmrużenia —
Płyną ptactwa pacierze —drży dzwonek strumie-
[nia....
Dziewicze widma białe, z uśmiechem Madonny,
Rwą lilie i na skronie girlandy z nich plotą...
Daléj, skał fiolety mgłą zakryte złotą—
Daléj, chmur płowe szańce—daléj, jeszcze daléj,
Za wstęgą skał, eteru płynącego ściana,
A za eterem, falą bezbrzeżną rozlana—
Nieskończoność"....

— „O mistrzu!— przerwałem, z téj fali
Czy przegląda miłośnie słoneczna twarz Boga?"

Anioł odrzekł, schylając czoło: „On jest wszędzie"
I dodał: „Był przed czasem; jest dziś; jutro bę-
[dzie.
Najdalsza myślą, wiarą najbliższa doń droga."

Podniósł skronie, i teraz dopiero ujrzałem,
Że dziwny blask zalewał smutne jego lica,
Że w oczach nie łzy drżały, ale błyskawica,
Że nawet cierń na skroniach kwiatem świecił
[białym.

Mrok padał coraz gęstszy. Byliśmy na skale
Nagiéj jak czaszka mędrca. Szczyt jéj był wy-
[niosły
I nad chmury wystawał jak okręt nad fale.
Nie kwitły tu fiołki, mchy nawet nie rosły,
Żaden strumień z urwiska nie spadał kaskadą,
Żaden orzeł nie krakał. Mniszki lasu, jodły,
Tajemniczéj rozmowy z wichrami nie wiodły,
A niebo, świecąc barwą wypłowiałą, bladą,
Miało pozór ściętego w szklany lód jeziora.

Mróz poczynał mnie ranić sztyletami chłodu,
Dusza była jak ciało zmęczona i chora,
Łzy do serca i źrenic biegły bez powodu...

Przewodnik mój miał usta słodko roześmiane.
Pokazał mi ruchomą, z chmur skrzepniętych
[ścianę,
I rzekł: —„Za tą zasłoną—cel naszéj podróży,
Kres twych cierpień."— Westchnąłem. — „Tam
[już nie dolata
Ni śmiech szczęścia ziemskiego, ni grom ziem-
[skiéj burzy;
To ustroń po za sferą zmysłowego świata,
To kraina marzenia!—Wstąpisz w nią za chwilę...
Lecz, żebyś oczyszczony przeszedł święte progi,
Wprzód tych ludzi, co ciernie słali ci pod nogi,
Tę ziemię, co dla ciebie miała żądeł tyle,
Obejmij raz ostatni promieniami wzroku
I wyrzecz: ani klnę was, ani błogosławię,
Tylko żegnam—na wieczność."

Trwożnie i ciekawie
Spojrzałem po za siebie.—W światłości potoku
Leżała tam, ogniami zalana krwawemi,
Piękna razem i straszna—panorama ziemi.

Ziemia!—Biedny dla kogo w tém słowie się mie-
[ści
Tylko echo cierpienia, tylko jęk boleści,
Kto wcielenia snów złotych, co mu w sercu
[drzemią
Musi szukać nad ziemią, lub może—pod ziemią...

Jednak, dziwny los uczuć! — Zaledwie ujrzałem
Tę matkę, co macochą była mi najczęściéj,
Piorun gniewu zgasł we mnie, i miast zwartéj
[pięści,
Podniosłem na nią oczy łzami brylantowe....
I napoły mdlejący i duszą i ciałem,
I zły, że mi nikt gromów nie rzuca na głowę,
Rzekłem: „o rodzicielko! w tobie serca nie ma"...

Rzekłem—i oczy dłońmi zakryłem obiema.

A nagle, gdym tak siedział z bólu skamieniały,
Jakieś lutnie anielskie nademną zagrały,
I w ciszy ktoś zawołał:—„Słuchaj, co odpowie
Ta, którą oskarżyłeś."—Więc słuchać począłem.

Jak szemrze zdrój po głazach ciekący w dąbro-
[wie,
Jak szczebiocą jaskółki latające kołem,
Tak zadzwonił nademną chór głosów od ziemi.

Z razu, był on tak cichy jak pieśń skowronkowa,
I do marzeń tonami kołysał srebrnemi...
Potém, słychać w nim było niby gniewu słowa,
Niby harde a płonne Tytanów okrzyki.
Z cichego stał się głośny, ze słodkiego dziki,
Przeklinał, bluźnił... Potém, z większą jeszcze
[siłą,
Począł kipieć jak otchłań w szponach huraganu,
Wyć, jak stado szakali nad świeżą mogiłą,
Huczeć, jak grom szarpiący wnętrzności wulka-
[nu....
Potém, wszystkie oddzielnie bolejące głosy
Stopił w jeden krzyk wielki, w jedną tonów bu
[rzę,
I tym krzykiem olbrzymim szturmował w nie-
[biosy,
Żalił się nad padołem i wygrażał górze....
Ugiąłem się pod jego ogromem.—Przez chwilę
Byłem jak człowiek nagłą skamieniały trwogą.
Myśli moje, jak wichrem porwane motyle,
Lub garść liści nad wiejską kołujących drogą,
Pobiegły w wir szalony; biedne serce moje
Od mnóztwa smutnych wrażeń pękać się zda-
[wało....

Pojąłem, że téj burzy treść wypełnia całą
Bunt, co zrodził przed wieki tytanowe boje.

Z wolna, z tonów chaosu wyróżniać zacząłem
Pojedyncze melodye... z wolna, głosy ziemi
Poczęły do mnie mówić słowami ludzkiemi...

Słuchałem ich milczący, z pochyloném czołem.

A najprzód ten tłum ciemny, co nakształt mro-
[wiska
Pełza na dnie ludzkości; ta czerń, co wciąż bluźni
Bogu Prawdy; ta zgraja, co w twarz Piękna ciska
Kał i groty w socyalnéj naostrzone kuźni,
Tak przemówiły głosem ochrypłym:
„W edenie
Ssało dwoje dzieciątek piersi jednéj matki,
Dwoje dzieciątek różnych na pierwsze wejrze-
[nie...
Jedném z nich był pacholik różowy i gładki,
Z niebem w oku, z uśmiechem na anielskich li-
[cach,
Alabastrowy ciałem, o włosach jak pela,
Niewinny, istne dziecko cnoty i wesela;
Drugiém—czarny szatanek z okiem w błyskawi-
[cach,
Z fałdą bólu na czole, w twarzy z piętnem grze-
[chu,
Obcy matki pieszczotom, nieznający śmiechu,
Syn cierpienia i nocy.—Tych pacholąt dwoje
Los przeznaczył na wieczne niezgody i boje;
Każdy miał być odwrotnym drugiego biegunem;
Jeżeli jeden ciszą, to drugi piorunem.
Lód nienawidzi ognia, jutrzenki noc czarna,
I w ich sercach wschodziły nienawiści ziarna,
I ich oczy braterskie, gdy się zeszły razem,
Ścierały się, jak w bitwie żelazo z żelazem...
Grom spadł wreszcie—a w pętach wstrzymywa-
[ny długo
Splamił kwiaty edenu purpurową strugą,
Pod nożem wyklętego krew trysnęła bratnia—
Była to pierwsza zbrodnia; pierwsza—nie ostat-
[nia!
Zabójca uciekł z licem od przestrachu bladém,
A straszna klątwa Stwórcy poszła jego śladem...
Odtąd, jak grzyb zatruty poświęconą ziemię,
Tak kala ludzkość całą Kainowe plemię.
Odtąd, obce miłości, skryte w kretowiska
Na słoneczną twarz Prawdy błoto szyderstw ci-
[ska;
Toczy świata budowę, miny kładzie pod nią,
I głód pierś mu trawiący zaspakaja—zbrodnią.
Jego słońce tam wschodzi, gdzie dla drugich ga-
[śnie...
Tém plemieniem Kaina my jesteśmy właśnie!
Jak żądło w pysku gadu, tak w nas grzech się
[kryje.
Lecz któż za ukąszenie będzie karał żmiję?
Kto powie, że jest winien piorun kiedy pali?
I kto zada pokutę rozkiełznanéj fali?
Poeto! bądź ty lepszym od ślepego losu;
Niech serce twoje zadrga od naszego głosu,
Niech słowo twe rozświeci czarną otchłań zbro-
[dni—
A gdy darów miłości nie jesteśmy godni,
To chociaż, jeden z tłumu, o piękna kapłanie,
Błądzącym przez brak światła, daj—politowanie!"

Głos ucichł, lecz w ślad za nim przybiegł zaraz
[inny,
Żałosny, jak wołanie błądzącéj Erynny.
Głos ten mówił:

—„Z pośrodka wiekuistéj nocy
Upadłe i ginące, wołamy: pomocy!
Bóg nas nie chce i szatan od siebie odtrąca....
Nie znamy słońca wiary i miłości słońca;
Ból i orgia targają naszą pierś z marmuru,
Do ust naszych śmiech przyrosł, jako pleśń do
[muru.
Pomocy! wszakże ziemia jedną dla nas matką,
Pomocy! wszakże wspólną jesteśmy czeladką,
Liśćmi drzewa jednego, którém wiatr żywota
I burza namiętności w różne strony miota.
Więcéj łez w naszych sercach, niż na twarzy
[śmiechu,
Więcéj nieświadomości, aniżeli grzechu.
Swiat przemocą nas zepchnął w tę przepaść zło-
[wrogą,—
Zostałyśmy na zawsze—skamieniałe trwogą!
W koło nas, albo orgia dzikim wrzaskiem bucha,
Albo cisza zapada, jak grób taka głucha.
Orgia snem niepamięci odrętwiać nas umie,
Ale cisza przychodzi w widm ponurych tłumie
I stawia nam przed oczy, ściemniałe rozpaczą,
Girlandę dni minionych, które krwawo płaczą....
Poeto! ty posiadłeś świętą władzę słowa—
Walcz niém, błyskaj, zwyciężaj!—tak każe Je-
[howa,
Tak każe ten, z którego wszelka moc się rodzi...
Tyś winien stać u steru na społeczeństw łodzi,
I strzedz, żeby nie zgasły na niebie żywota,
Te trzy słońca ludzkości: piękno, prawda, cnota.
Gdy zejdziesz w naszą otchłań, jak anioł pocie-
[chy,
Gdy usłyszysz jęk głuchy i rozgłośne śmiechy,
Gdy cię ból wężowemi owinie splotami—
Zanim sądzić nas poczniesz, wprzód — zapłacz
[nad nami!"

Głos rozwiał się w powietrzu—i znowu od ziemi
Przyszedł inny słowami mówiący smutnemi.
Ten był głosem Tytanów. Miotał bluźnierstw
[strzały
Na Zewsa, gromowładcę, i na Olimp cały,
Groził niebu ramieniem wytężoném pychą,
A wreszcie, tak jak tamte skończył skargą cichą..

Głos, co po tym nastąpił mocny był i śmiały,
I wiele łez w nim było, ale więcéj chwały.

Melodyjnym akkordem dźwięczały w tym głosie:
Modlitwa męczenników ginących na stosie,
Cudne tony nadziei, miłości i wiary,
I cudniejszy od wszystkich—srebrny ton ofa-
[ry.

Gdym go słuchał, to krew mi rumieniła lica,
I myśli rozświecała złota błyskawica,
I dusza moja, z bolu na poły mdlejąca,
Zwracała się do niego jako kwiat do słońca,
I serce poczynało aniołów pacierze...
Tym głosem przemawiali duchowi rycerze,
Kapłani, którzy ognia świętéj prawdy strzegą.
Widziałem ich, jak nakształt łańcucha długiego
Żurawi, żeglujących nad zamglonym borem,
Ciągnęli pochyleni mrocznym życia torem,
Jak po cierniach nogami deptali bosemi
I jak ich brzemię krzyża zginało ku ziemi.
Widziałem – każdy dźwigał męczeńską koronę
I każdy miał źrenice łzami zamroczone,
Uśmiech jednak jak słońce oświecał im wargi.
Nie słyszałem westchnienia, nie słyszałem skar-
[gi...
Wszyscy, choć krwią ociekli, dążyli do mety.
Czy wszyscy do niéj doszli?... Niestety! niestety!
Potém, jęki płynęły żałosne a tłumne,
Myśl moją owijając, niby bluszcz kolumnę;
I od wieków ciśnięta na łoże Prokusta
Matka ziemia mówiła przez swych dzieci usta.

Wszelki głos ziemskich uczuć, szczęścia czy cier-
[pienia,
Dusza poety w ziarno urodzajne zmienia,
I jako w ciepłym gruncie zatrzymując w sobie,
Wytwarza z niego owoc, lub kwiat ku ozdobie.

Z głosów, które się wówczas zasiały w mą duszę,
Czułem, że kiedyś owoc światu oddać muszę,—
I owocem tym będzie praca Syzyfowa,
Budowanie pomników ze dźwięcznego słowa,
Stawianie Bogu Prawdy wspaniałych ołtarzy
I karmienie cielesnych i dusznych nędzarzy—
Że odtąd wszystkie myśli poczęte w méj głowie
Będą do biednéj braci należeć w połowie—
Że odtąd namaszczony na biednych rzecznika,
Wszelki cierń, co się w łonie ludzkości zamyka,
Wszelki ból utajony pod głazem milczenia
Odkryję i pokażę Panu wszechstworzenia—
Że będę głośno mówił za tych, co są niemi,
Że będę sennych budził słowami grzmiącemi,
Że będę słał do ludzi pieśń mą nakształt gońca
I w otchłaniach zapalał promieniste słońca...

Wstałem. Zapał i wiara mocnym mnie zrobiły.
Czułem w piersiach płomienie, w duchu nowe
[siły.
Spojrzałem na anioła, co milczał ponuro,
Spojrzałem—i wstyd lica oblał mi purpurą.
Gdy zapaśnicy prawdy służący jéj wiernie
Idą śmiało do celu przez ogień i ciernie,
Gdy matka nasza słaba i duszą i ciałem,
Ja, boży kapłan Piękna, uciec od niéj chciałem!?

Gromem upadło na mnie poczucie téj winy.
Zapłakałem—a wtenczas, cicho jak westchnie-
[nie,
Ktoś duszę moją trącił szeptem: „Przebaczenie."
Drgnąłem jak ten, co ze snu długiego się budzi...

Błysnęło — anioł zniknął...

Jam znowu wśród ludzi!

Wiktor Gomulicki.

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 81).

II

— Ojciec Violi był starym aktorem, znakomitego, rodzimego talentu... komikiem nieporównanym, ale człowiekiem bez hamulca, bez obyczajów... który trawił życie po szynkowniach... żył z dnia na dzień i mimo najlepszego serca, starém zepsutém dzieckiem dotrwał do końca, wlokąc za sobą ofiary. Temi była żona jego, artystka także, najnieszczęśliwsza istota, zmuszona walczyć z nim o chleb swój i dziecka, i dziecko to, które ledwie odrosłszy od ziemi, poznało wszystkie rodzaje nędz i upokorzeń. Ojciec jéj zszedł, coraz się bardziej upijając, do takiego upadku, iż ledwie w najlichszych truppach mógł na kawałek chleba zarobić. Zamykano go na klucz w te dnie gdy grać potrzeba było. Matka zmarła do rozpaczy przywiedziona gdy Violka miała lat siedm czy ośm... a nie dziecko powierzała ojcu, ale tego nieszczęśliwego jéj musiała powierzyć; miarkujesz jakie to było wychowanie. Kołysała ją niedola, nędza przyśpieszała dojrzałość, sieroctwo ją uczyło, sponiewieranie ojca kazało zmężnieć przed czasem by go ratować. Niemiała prawie dzieciństwa i to świeże, niewinne stworzenie co gra role niewinne z taką doskonałością nigdy nie miało czasu być dzieckiem... Życie całe swe brudy, rany i szkarady odsłoniło przed nią wprzód nim sama zamarzyła o ideałach. Talent ten wyrósł w ogniu nędzy okrutnéj... Ojciec zmarł, została sierotą, sama... bez opieki wśród ludzi, co ani mogą ani myślą białéj sukienki szanować... Musiała odgadnąć swe obowiązki, środki obrony, zebrać się na mętwo, nie zlęknąć głodu nawet... Wyszła z tych prób zwycięzko, lecz miarkujesz, że taką niedolę, taką cnotę, takie sieroctwo należy szanować... i że płocho chcieć bałamucić dziewczę, które w świecie całym ma jedno serce swoje... byłoby występkiem.

— Wszystko to w twych ustach ślicznie wygląda rozśmiał się Herman; ale—czekaj—*audiatur et altera pars.* Widzę prześliczną, różowiuteńką, okrytą puszkiem młodości wisienkę dojrzałą na gałązce... Rozczulam się nad jéj wdziękiem... nie mam serca zerwać i połknąć; w téj chwili szary paskudny wróbel wyrywa się gdzieś z kąta, schwycił ją w dziób i poniósł. To właśnie morał twéj historyi sieroty Violi... któréj ja będę się kłaniał z uszanowaniem dla jéj niedoli, a jakiś młokos śmielszy zbałamuci.

— Byćby to mogło — odparł spokojnie zawsze Sylwan—lecz zaręczam ci, że ta wisienka lada wróblowi wziąć się nie da. Daremne będą twoje zabiegi... Nazwałeś to miłością—dodał—jabym temu dał imę fantazyi tylko... Ty jeszcze nie umiesz kochać, i wątpię, żebyś już kiedy potrafił.

— Dla czego? podchwycił Herman.

— Dla tego, że jak cała młodzież dzisiejsza, puszczona swobodnie, nie hamowana w niczém —mało masz poszanowania dla kobiety. Ona dla ciebie będzie ideałem kształtów, wdzięku... ową wisienką do zjedzenia o któréj wspominałeś, nigdy złotoskrzydłym aniołem, w któregobyś serce uwierzył i chciał z nim życie podzielić... Viola jest z pewnością więcéj warta nad pospolite dziewczęta... a ty jéj ocenić nie potrafisz...

— To dobre! a zkądże ty znowu tak doskonale znasz ją, jéj przeszłość, cnoty, serce i idealne złote skrzydła? zawołał Herman ..

— Ja? rzekł Sylwan. Nie będę ci się zapierał tego, lubię teatr, znam kilku artystów, w ich towarzystwie poznałem ją, zbliżyłem się bez najmniejszéj pretensyi ani podobania się, ani bałamucenia jéj i siebie... i — spuszczając głowę dokończył Sylwan... poznałem ją bliżéj, a poznanie to wzbudziło dla niéj szacunek...

Herman się rozśmiał.

— Ty ze swoją powagą i wiarą jesteś zabawny! Ależ mnie opowiadano historyę o niéj! To porządny kopciuszek, ale wcale nie tak naiwny, jak ty go sobie wyobrażasz! Ho! ho!

— Jeśli ją lepiéj znasz nie ma co mówić o tém —dodał brat;—ale zdaje mi się, że się mylisz... To co powiadasz, uspakaja mnie, bo z téj strony ją znając jak sprytnego kopciuszka niebezpiecznie zakochać się nie możesz... Fantazya ta przejdzie jak inne... Wybije ci ją z głowy druga...

— Tymczasem ani przystąpić mi do siebie nie daje, odezwał się Herman... Mój drogi jak ty mnie kochasz, kiedy ty z temi artystkami jesteś tak dobrze... a masz tam wstęp—ratujże mnie!

Sylwan zerwał się z łóżka.

— Dajże mi pokój! Ja żebym ci pomagał do takich bałamuctw! Hermanie—przecież mnie znasz!

Chłopak wnoszący herbatę przerwał na szczęście rozmowę; obaj zamilkli, Sylwan się wziął do samowara, Hermanzamyślił się i wzdychał. Jakiś czas trwała cisza przerywana tylko brzękiem szkła i łyżeczek. Dzień już się był zrobił jasny i od ulicy żywy ruch słychać było... Miasto budziło się, dzwony wołały do kościołów, powozy turkotały po bruku, z dala dolatywały rozmowy głośne i śmiechy idących na targ włościan...

— Wiesz ty? co—rzekł wypiwszy herbatę z cytryną Herman—należałoby mi pójść do domu... ale w tym paltocie i kapeluszu przez ulicę przejść niepodobna...

— Weź co mojego...

— Masz tak anachoreckie ubranie, rozśmiał się Herman—doprawdy, niepodobieństwo... gdybyśmy kogo roztropnego do mojego Staszka posłali—ale, kogo?

— To znaczy chyba, żebym ja sam poszedł, odezwał się Sylwan. Zgoda i na to, lecz jest jeden warunek.

— No! jaki?

— Jeśli kto do furtki ogrodowéj zadzwoni żebyś nie otwierał...

— Dla czegoż?

— Dla tego, że ja sobie tego życzę... że cię o to—proszę.

— No, to nie otworzę... Kładę się na łóżko i odpoczywam...

Sylwan wziął swój szary kapelusz z salki, i przymknąwszy drzwi sypialni wyszedł powoli.

Herman istotnie położył się na jego łóżku, przymknął oczy i drzemać począł. Nie upłynął kwadrans, gdy dzwonek od ogrodowéj furtki się odezwał... Herman otworzył powieki, myśląc: —Ciekawa rzecz dla czego on mi otwierać nie kazał? Może kto z interesem i Sylwan zaraz powróci, mógłby sobie na niego poczekać.

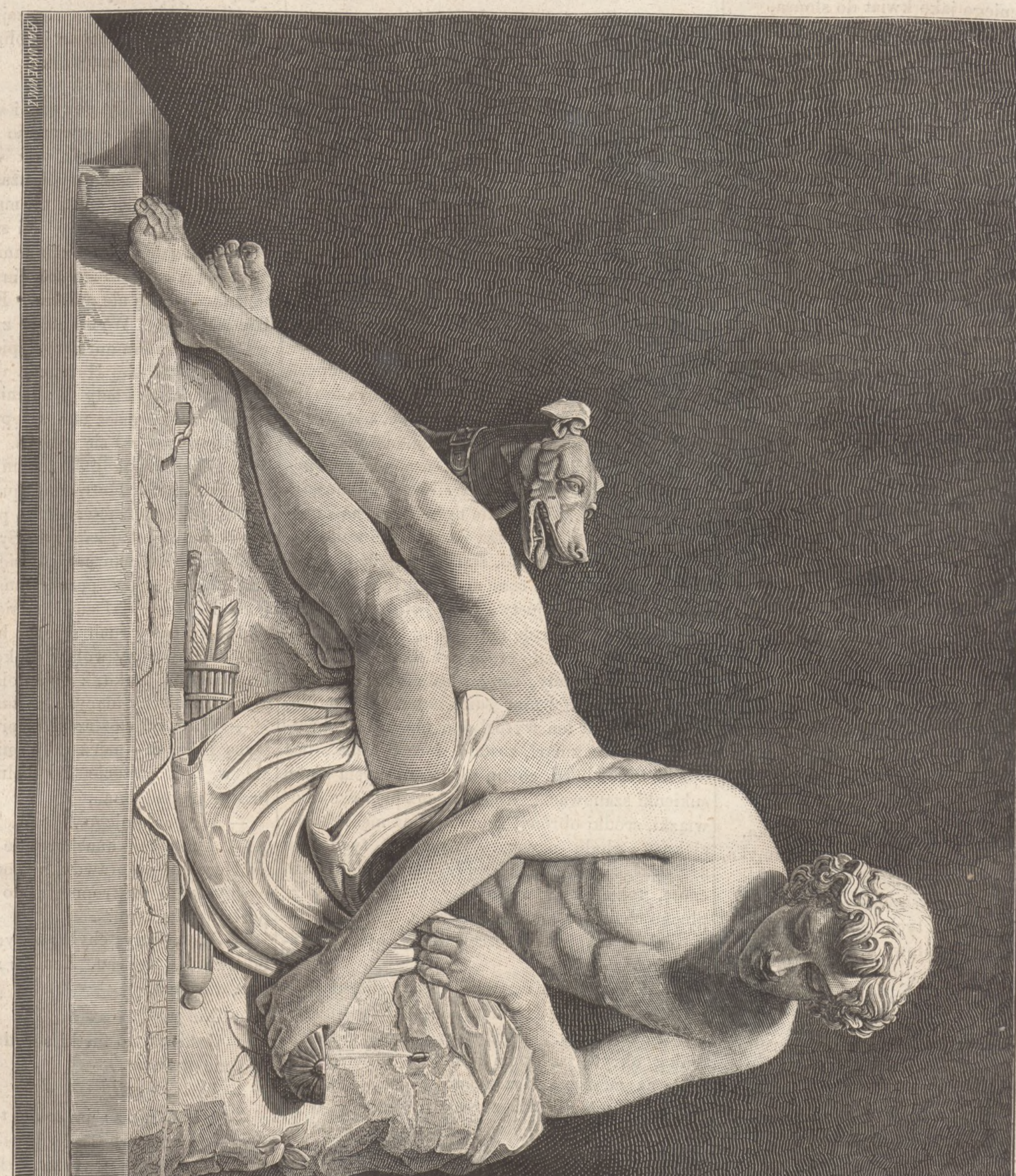
Zadzwoniono nieśmiało po raz drugi... Herman wstał, poprawił trochę suknie... i wyszedł ścieżką ku furtce. Zbliżając się ku niéj, usłyszał za murem rozmowę... Przyśpieszył kroku, otworzył... Dwie osoby stały w progu: staruszek siwy, przygarbiony, i zakwefiona kobieta młoda .. Na widok Hermana pierwszy się zmieszał, a dru-

ga żywo cofnęła i zwróciła tak, że twarzy jéj widzieć nie mógł.

— Pana Sylwana nie ma w domu? zapytał stary.

— Nie ma, ale natychmiast powróci... Możeby państwo przeszli się po ogródku i poczekali trochę; w téj chwili nadejść powinien...

Staruszek zwrócił się do kobiety jakby z zapytaniem; ta milcząco dała mu znak przeczący i odsunęła się od furtki żywo. Stary skłonił się i poszedł za nią. Herman wyjrzał jeszcze za oddalającymi się—i—byłby przysiągł, że tego staruszka gdzieś widział, bodaj za kulisami teatru—a... ta zakwefiona pani... postawą i ruchami tak przypominała Violę!



Adonis odpoczywający. Rzeźba p. Wiktora Brodzkiego.



Głód w Teheranie.

Nie śmiał i niemógł pogonić, ale ścigał ją długo oczyma, w ostatku gdy znikli furtkę przymknął i zamyślony wrócił do sypialni.

— Otoż dla czego Sylwan nie życzył sobie, ażebym furtkę otwierał! — i dla czego tak się unosił nad ideałem panienki, która w towarzystwie szanownego suflera, przychodzi mu ranne oddawać wizyty! Dobryś braciszku! A! rozumiem! Taki pedant, purytanin, świętoszek, na morałach jeździ jak najlepszy berejter... a panny o świtaniu u siebie przyjmuje.

Chód śpieszny od furtki przerwał rozmyślania Hermana. Drzwi się otworzyły: wszedł najprzód Sylwan rzucając na brata wejrzenie chmurne, a za nim ładny chłopaczek w liberyi bardzo wytwornéj, z twarzyczką roztropną, ożywioną, dowcipną—doskonale dobrany służka swego pana.

Staszek miał na ręku palto i kapelusz czarny usta miał zakąszone i uśmiechnięte.

— Pani hrabina już się pytała rano o pana, rzekł wchodząc;—ja powiedziałem chwała Bogu niezgorzéj, że pan na wsi i że dopiero po ósméj powróci... Biegałem już do restauracyi, kellner mi powiedział że pan nad rankiem wyjść musiał, a był czegoś zły i cytryną sobie pod nosem smarował... bo mu ktoś wąsy atramentem umalował.

Staszek począł się śmiać.

— Jabym przysiągł żeto pan!

Herman kładł palto spoglądając na brata który stał milczący i widocznie nadąsany. Skinął na Staszka żeby szedł przodem i zbliżył się do Sylwana.

— Co ty tak pochmurniałeś? spytał.

— Zrobiłeś mi przykrość—odezwał się sucho Sylwan. Prosiłem cię ażebyś furtki nie otwierał...

— Lękałem się ażeby kto nie był z interesem, nie masz się gniewać za co...

— Prosiłem cię—dodał starszy—to dosyć; powinieneś był choć raz posłuchać. Zaufałem ci... uczyniłeś mi przykrość! wielką przykrość!

— Wierz mi odezwał się się Herman, iż sam to sobie wyrzucam... ale mógłżem się u licha spodziewać, żebyś ty, anachoreta, o osméj godzinie rano odwiedziny jakichś pań przyjmował...

— No, nie żartuj—rzekł surowo Sylwan—jesteś płochym często, ale poczciwym zawsze... Ufam ci—poznałeś w kobiecie Violę, bo ona ciebie poznała, i odeszła ztąd zmieszana, płacząca, przewidując, że z najniewinniejszéj w świecie rzeczy zrobi się plotka...

Proszę cię więc na naszą miłość braterską Hermanie, zapomnij, żeś ją tu widział, i nie wspominaj o tém nikomu...

— A ta najniewinniejsza w świecie ranna przechadzka do twojego ogródka? zapytał Herman—cóż ona ma znaczyć? (*d. c. n.*)

Adonis odpoczywający.

Ideałem młodości był u Greków starożytnych Adonis, piękno więc z żywością uczucia i dzielnością młodzieńczą składały się na utworzenie mytycznych opowieści dotyczących téj postaci.

Póki rodu ludzkiego, póty też zapewne kwiat młodości będzie ozdobą jego, póty życia wartki strumień siłą gotowości do działania młodego pokolenia toczyć się będzie, póty też uosobienia tych przymiotów najdoskonalszym wyrazem postać Adonisa łowcy greckiego pozostanie. Musielibyśmy chyba porzucić wszystkie zakresy poetyczne uosobiania idei i pojęć wprzód nimbyśmy byli w stanie z temi staroludzkiemi obrazowaniami zewnętrznych przymiotów człowieka na zawsze wziąść rozbrat. Dla symbolizującéj idee rzeźby, chwila taka byłaby chwilą jéj śmierci,—na szczęście jak z jednéj strony takie wynaturzenie się człowieka jest niemożebném, tak z drugiéj dzieła znakomitych rzeźbiarzy do jakich rodaka naszego p. Wiktora Brodzkiego zaliczamy, nieprzestaną nam przypominać jak piękne, poetyczne oderwane pojęcie z pięknem odtworzeniem onego w marmurze lub bronzie w parze iść może.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dokończenie. (Ob. Nr. 81).

Człowiek małpa; ostatnie słowo Darwina, studyum Dr. *Pawlickiego.* Lwów 1872.

Takich niedokładności moglibyśmy przytoczyć mnóztwo, których niemożemy wcale przypisać niedokładnéj znajomości języków obcych piszącego, jak się to często zdarza, bo autor, o czém dobrze wiemy, włada doskonale i niemieckim i francuzkim językiem. Témbardziéj nie możemy tego uczynić, że podobne *niedokładności* wkradają się i w ostateczne wnioski, które autor przedstawia. Możemy je wykazać, np. w owych ostatecznych wnioskach autora, któreśmy w samym początku naszego artykułu przytoczyli. I tak w 1 pozycyi wyraz *nieskończenie* nie jest właściwy, bo gdyby tak było, toby nikomu nigdy na myśl nie przyszło połączyć człowieka z małpą, jak go nie stawia na równi np. z psem, kotem lub myszą. Uczeni mówią tylko o *znacznych* różnicach. W drugiéj pozycyi wyrażenie, że fizyologowie uważają za *niepodobne* wszelkie pokrewieństwo małpy z człowiekiem, jest również nie ściśle, a nawet mylne, gdyż fizyologowie osądzają tylko fizyczne, t. j. anatomiczne i fizyologiczne podobieństwa, a autor sam przyznaje na wstępie, iż przez długie wieki lekarze uczyli się anatomii człowieka na ciałach małpich aż do XIV wieku. Wreszcie gdyby autor znał specyalnie fizologią, toby tego nawet niemógł powiedzieć. Trzecia pozycya również jest nie ścisła;—wprawdzie żaden geolog ani zoolog nie może twierdzić, ażeby *pośrednie kształty, wypełniające przepaść między człowiekiem a małpą*, rzeczywiście już były wynalezione i istniały, ale tém mniéj może jeszcze postawić albo rzeczywiście stawia to twierdzenie, że ich *nie było*, jak się autor wyraża. Podobne wyrażenie do którego autora nie upoważniają nawet dowody, które on sam stawia, bezwzględu na to, czy one są rzetelne lub nie, pokazują tylko, że autor nie jest dość ścisłym w swoim rozumowaniu i wpada w błąd, który swoim naukowym przeciwnikom, Darwinowi i nowoczesnym przyrodnikom w ogóle, z taką emfazą na str. 18 i następnych zarzuca, mówiąc np. „że posiadają niesłychaną erudycyą obok zupełnego niedołęztwa myślenia" „odkąd surowa pani myślenia (t. j. łacina) i dobrego gustu zamilkła, zaczęły się bachanalie dla piszących i mówiących i t. d."

Takich miejsc, ścisłości rozumowania przeciwnych, moglibyśmy również przytoczyć bardzo wiele. Ograniczymy się jednak na przytoczeniu jeszcze jednego. Dla tego, aby dowieść, że gatunki pozostały niezmienne aż do ostatnich czasów, przytacza autor fakta (str. 40) następne, „że Arystoteles jeszcze podzielił zwierzęta na klassy, nieróżniące się od klass Cuviera i że ten ostatni skopiował z obelisków egipskich, znajdujących się w Rzymie, wizerunki zwierząt, które się nawet w drobnych szczegółach podobnemi do dzisiaj żyjących okazały."

Wyznajemy, że tego loicznego wywodu niepojmujemy. Dla tego że żyjące obecnie ibisy, małpy, krokodyle i różne inne zwierzęta są *podobne* do tych, które za czasów Faraonów istniały, lub Aristotelesowi były znane, więc ztąd ma wynikać, że nowe gatunki nie mogły powstać, albo stare zaginąć. Wszak ani Darwin, ani żaden z jego poplecznikow i materyalistycznych przyrodników nie twierdzi, że gatunki zwierząt, obecnie się znajdujących, *nie są podobne* do tychże samych gatunków, istniejących za czasów najodleglejszych faraonów, Mojżesza, a nawet Adama. Oni tylko twierdzą, na podstawie faktów paleontologicznych niezbitych, że z biegiem czasu, a zatém i w ciągu wieków, sięgających aż do najodleglejszych faraonów, jedne gatunki, a nawet rodzaje wyginęły, a natomiast drugie powstały. To powstanie gatunków tłomaczą tém, iż *pojedyncze jednostki*, oddzieliwszy się od gromady tego samego gatunku, wpadły w *pomyślniejsze* warunki bytu i pod ich wpływem się zmieniły, tak, że w skutek stałego przenoszenia się tych odmian dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, wyrobiły się nowe gatunki; w tém leży cała istota nowéj teoryi Darwina. Co do głównych oddziałów, to jest familij i klass, to nic dziwnego, że od Arystotelesa aż dotąd nic się w nich zmienić niemogło, bo jeśli człowiek przedstawia najwyższy szczebel w szeregu zwierząt, a zwierzęta się rozwijały od najniższéj formy do najwyższéj, to do wytworzenia się pierwszego człowieka wszystkie inne oddziały zwierząt, przedstawiające szereg coraz to wyższéj organizacyi, już bezwarunkowo istnieć musiały i po wytworzeniu się człowieka żadne nowe przybyć nie mogły, a zatém główne oddziały już za Arystotelesa, a nawet Adama istnieć musiały. Z drugiéj zaś strony, fakta geologiczne, świadczące niezbicie o stopniowém rozwijaniu się form zwierzęcych coraz to doskonalszéj budowy, żadną miarą, w téj chwili przynajmniéj, zaprzeczyć się nie dadzą. Czy dowody Darwina i jego zwolenników wytrzymują krytykę, to inna rzecz. Lecz wątpimy bardzo, aby zarzuty naszego autora były *zdolne* do osiągnięcia tego celu. Odpierając te zarzuty autora nie mamy wcale na myśli stawać w obronie bezwarunkowo teoryi Darwina, albo też krańcowych jego zwolenników, ze wszystkiemi jéj wybujałościami. Bronimi tylko zdrowéj logiki. A na dowód tego widzimy się zmuszeni zrobić autorowi jeszcze jeden i to najważniejszy może zarzut, to jest że nie zna gruntownie przedmiotu, o którym pisze i sam siebie nie rozumie. Stanąwszy na stanowisku, na którém obecnie się znajduje, strzela i nie widzi, że zamiast ugodzić przeciwnika, sam sobie cios śmiertelny zadaje, czyli raczéj téj zasadzie, w któréj obronie staje.

Wykazawszy, jak się autorowi zdaje, dowodnie płonność na anatomii zwierząt opartych dowodów zmienności gatunków według teoryi Darwina, przechodzi do fizyologicznych i mówi: (str. 49). „Polega on (sofizmat Darwinowski) na tém że embryony (*zarodki*) różnych zwierząt bardzo są do siebie podobne, lub nawet nie różnią się wcale. Ale ztąd, że zarodki w pierwszych chwilach istnienia swego wszystkie do siebie podobne się *zdają*, nie wynika wcale, aby niemi *były* rzeczywiście. Po miesiącu, nawet po tygodniu, nieraz po dniu jednym, pokazują się nadzwyczajne różnice, których *przedtem nasz wzrok niedokładny i niewprawny* dostrzedz nie umiał. Gdyby tych różnic nie było od samego początku, gdyby, jak Darwin mówi, embryony człowieka, psa, foki, nietoperza rzeczywiście były tém samém, wtedy byłby *większy cud ten*, że embryon człowieka zawsze się rozwija w człowieka, a nigdy w psa, embryon foki zawsze w fokę i t. p.

Różnica ciepła, pokarmu i innych okoliczności zewnętrznych, na rozwój zarodka wpływających, tak absolutnéj stałości jednego z najważniejszych praw natury w żaden sposób wytłómaczyć nie może, różnica ta bowiem zależy od przypadku, nie jest stałą, nie zawsze jest, a jeżeli jest między dwiema jednostkami tego samego rodzaju często jest nierównie większą, jak między jednostkami dwóch, bardzo nawet odległych rodzajów Gdy zważymy, że *stałe skutki nie mogą mieć przyczyn przypadkowych i że te same przyczyny nie mogą mieć różnnych skutków*, (co scholastycy wyrażają krótką formułką: *idem facit idem*), okaże się cała próżnia materyalistycznego twierdzenia. Bo ani stałość zachowania rodzajów nie może mieć swéj przyczyny w okolicznościach przypadkowych ciepła, pokarmu etc, ale musi je mieć w zarodku zamym, *ani różnica rodzajów nie da się pogodzić z tożsamością zarodków*. Nie zatrzymujemy się więc dłużéj nad tym śmiesznym zarzutem..." i w dopisku dodaje: „Opowiadają, że sławny amerykański antropolog Agassiz, włożywszy jakiś zarodek w spirytus, zapomniał przyłożyć napisu, a w jakiś czas potém sam nie mógł już rozpoznać, czy to był zaród ptaka, czy ssącego zwierzęcia, czy gadu. Tym to faktem posługują się Darwiniści, niepomni, że embryon w *dalszym rozwoju byłby sam niewątpliwie powiedział o sobie, czem jest. Rzecz aż nadto widoczna*, że podobieństwo emhryonów dowodzi tylko *niedokładności naszych oczu*, nie zaś *tożsamości* istot."

Pomijamy, że autor nie zdaje się ściśle rozróżniać *zarodka* (germen, Keim, germe, to jest płód *in potentia*) od *zalążka* (embryo, t. j. płód w pierwszych chwilach swojego rozwoju), co jednak w tym wypadku jest ważném. Pomijamy że autor nie zdaje się znać ani natury, ani doniosłości i znaczenia czynników fizycznych ciepła, pokarmu i t. d. na rozwój zarodka i zalążka, o czém z łatwością z fizyologii i embryologii mógłby się dowiedzieć. Pomijamy błędność téj zasady w zastósowaniu do przyrody, że jedna przyczyna nie może mieć rozmaitych skutków, odpowiednio do warunków, w jakich działa, a jeden skutek więcéj stałych lub przypadkowych przyczyn. Pomijamy nawet i dziwaczność tego żądania, aby człowiek *koniecznie* rozróżnił między sobą dwie rzeczy, zupełnie podobniuteńkie do siebie,—będące podobnemi właśnie z tego powodu, że nie przedstawiają żadnych zmysłom człowieka dostępnych różnic,—dla tego jedynie że w dalszym swoim rozwoju stają się niepodobnemi. Pomijamy to wszystko i zwracamy się głównie do tego dążenia autora, chcącego dowieść, że przytoczona przez Agassiza i innych przyrodników niemożność rozróżnienia zalążków, (to jest embryonów w piewszych chwilach płodowego ich rozwoju), rozmaitych gatunków, a nawet familij i klass zwierząt od siebie, zawisłą jest od *niedokładności naszych oczu* i w ogóle naszych zmysłów i *dotychczasowych narządów i sposobów badania*, a nie od *tożsamości istoty*.

Otóż autor widocznie tego nie pojmuje, iż stawiając i utrzymując to twierdzenie, własnoręcznie burzy jedyną jeszcze tamę, stanowiącą najsilniejszą przeszkodę powodzi nowoczesnego materyalizmu, która gdyby się wylała, zdruzgotałaby zarazem niechybnie i te wszystkie nienaruszalne zasady, w których obronie autor z taką żarliwością występuje. Podstawą główną nowoczesnego materyalizmu nie jest wcale *zmienność* lub *niezmienność* gatunku; lecz ta zasada, co autor widocznie spuścił z uwagi, że wszystko co istnieje, mianowicie całe organiczne życie, jest wynikiem i wytworem niejakiejś tam tajemniczéj, duchowéj, nad materyą stojącéj siły, ale jedynie fizycznych i chemicznych własności organicznéj tkaniny, słowem własności i przymiotow *materyi* w ogóle, rozwijającéj coraz wyższe formy pod wpływem zewnętrznych warunków. Jeżeli więc zarodki zwierząt nie są jednakowe, lecz różnią się już w tym swoim stanie od siebie przez swoją budowę i inne fizyczne własności, których to różnic my tylko dla niedostateczności naszych zmysłowych przyrządów dostrzedz nie jesteśmy wstanie, to jest, jeśli w zarodkach nie jest utajone, po nad materyą stojące, prawo ich istnienia i rozwoju, zmuszające je do tego, że one pomimo wszelkich zewnętrznych warunków, tylko w kierunku przez niego wskazanym, a nie innym rozwijać się są wstanie, jeśli ów *wielki cud*, jak się autor wyraża, niespełnia się codziennie,—więc i cały rozwój tych istot jest zawisłym jedynie od fizycznych własności materyi i warunków zewnętrznych, jemu sprzyjających, a ów duchowy pierwiastek którego autor broni — jest czczém urojeniem. W chwili, w któréj by to mogło *stanowczo* być dowiedzionėm, nowożytny materyalizm, ze wszystkiemi jego krańcowemi ostatecznościami i wynikami, staje się nieograniczenie panującą zasadą i dyktuje światu swe prawa. Obrona więc téj zasady przez autora prawdziwém się staje samobójstwem. Dla uratowania małoważnéj zasady o niezmienności gatunku, poświęca autor daleko ważniejszą, bo stanowiącą najsilniejszą podwalinę zasad moralnych w człowieku, to jest duchowe prawo jako przyczynę wszelkiego życiowego rozwoju.

Z tego cośmy przytoczyli łatwo wywnioskować, iż powyższy traktat autora nie może być wzięty naukowo—*na seryo*. Jeżeliśmy się obszerniéj nad nim zastanawiali, to raz przez poszanowanie dla zkądinąd zasłużonego i chlubnie znanego autora, a powtóre dla tego, że zapowiedział *szereg* podobnych traktatów. Życzymy mu szczerze, aby w razie przywiedzenia zamiaru do skutku, osnuł je na silniejszych i rzetelniejszych podstawach, inaczej szkoda będzie — czasu i atłasu. A rzeczywiście szkoda! *S. B. W.*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Dokończenie. (Ob. Nr. 81).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.— Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

Nienawiść Niemców do Francuzów, nie osłabiona świetnemi zwycięztwami pod Lipskiem i Waterloo, przechowywana starannie w głębi serc germańskich przez cały przeciąg bieżącego stulecia, znajduje w historyku rzymskim gorącego i wytrwałego poplecznika. Mommsen przenosi swą nienawiść na cały szereg ubiegłych stuleci, obarczając klątwą wszystko, co pozostawać mogło w jakimbądź związku plemiennym z narodem zaludniającym dzisiejsze terrytoryum Francyi. Już Gallowie stanowią specyalny przedmiot jego niechęci. „Obok licznych świetnych przymiotów—mówi Mommsen—zbywało Gallom na głębokości poczucia moralnego i na sile charakteru politycznego, bez czego społeczeństwa ludzkie nie potrafią ani kroku postąpić w drodze ku dobremu i wielkiemu. Stary Katon określił ich krótkiemi słowy: „Gallowie uprawiają dwie rzeczy z zapałem—sztukę wojenną i piękne wysłowienie. Dobrzy żołnierze, źli obywatele, cóż dziwnego że zachwiali bytem tylu państw, nie założywszy żadnego trwałego?" Na chwilę wielka postać Wercyngetoryksa zdaje się wzruszać historyka. Jakkolwiek zwyciężeni w ogóle nie znajdują u niego sympatyi, ten jednak stanowi pewien wyjątek. Współczucie Mommsena dla losów arwerneńskiego wodza nie zachodzi przecież tak daleko, aby mogło wywołać najmniejszą choćby naganę przeciwko Cezarowi, który go w sposób tak haniebny i podstępny pozbawił życia. Zastanawiając się głębiéj nad osobistością Wercyngtoryksa, Mommsen chłodnie nawet z pierwszych uniesień i ostatecznie rzuca następną refleksyę: „Było w nim więcéj rycerskości niż istotnego heroizmu;... charakterystyka całéj rassy celtyckiéj mieści się w tém określeniu,—największy jéj bohater był zaledwie błędnym rycerzem." O kilka kart niżéj też samą rassę celtycką, a w szczególności plemię gallickie, spotykają jeszcze przykrzejsze zarzuty. Opór stawiany Cezarowi, ta rozpaczliwa walka o niezależność, stanowiąca jeden z najświetniejszych momentów historyi starożytnéj,—w dziele Mommsena odarta została ze wszelkiego uroku. Zdaniem historyka niemieckiego walka była prowadzona energicznie tylko w kilku klanach, i to przeważnie germańskich. Celtowie czystéj krwi „lekkomyślni i łatwowierni, lubujący się w szynkownianych zwadach, wyzywający niebezpieczeństwo odległe, ale drżący przed oczywistém i blizkiém, nie mogli zdobyć się na heroiczne wysilenie wymagające odwagi wytrwałéj, pewnéj siebie, brzydzącéj się zarówno zuchwalstwem jak słabością." Aby zaś nie sądzono że te dosadne określenia odnoszą się wyłącznie do Gallów przeszłości, Mommsen dodaje: „Po wszystkie czasy i na każdém miejscu znajdziecie ich zawsze jednakowych, utworzonych z poezyi i ruchomego piasku, o głowie słabéj, wrażeniach żywych, chciwych nowości i łatwowiernych;—miłych w życiu towarzyskiém, ale pozbawionych całkiem geniuszu politycznego."

Podobne uprzedzenia przebijają się i w poglądach literackich Mommsena, a sięgają stanowczo aż do samego źródła literatur romańskich, t. j. do piśmiennictwa rzymskiego. Potępiwszy to ostatnie, jako nieoryginalne i nienarodowe, historyk z zaciętością rzuca się na literaturę włoską i francuzką. Włochom odmawia istotnego uczucia poetycznego, a doskonałość ich w sztukach plastycznych przypisuje jedynie zmysłowości tego ludu. Piękno według niego działało silniéj na zmysły niż na duchową stronę artystów włoskich, i dla tego właśnie najszczytniejsze ich twory, wyraziły się w malarstwie, rzeźbie i architekturze. Muzyka, ta sztuka dosięgająca wyżyn ideału, u Włochów wspiera się nie tyle na głębokości i potędze idei twórczéj, ile raczéj na łatwości i giętkości melodyi. W miejsce sztuki prawdziwéj, uroczystéj, poważnéj, Włosi uwielbiają bożyszcze wdzięcznie przystrojone, ale często jałowe i puste.

Nie możemy zgodzić się z p. Gastonem Boissier aby ten sąd niemieckiego historyka o sztukach pięknych we Włoszech i Francyi, był zupełnie pozbawiony prawdy, aby na dnie jego nie spoczywało rzeczywiście szczęśliwe i wyraziste uchwycenie zasadniczych cech odróżniających literaturę i sztukę południo-zachodu Europy od jéj północo-wschodniéj siostrzycy. Trudno jednak zaprzeczyć, że i tu, podobnie jak w innych poglądach Mommsena, maluje się jednostronność, arbitralność, uporczywe podążanie za raz powziętą myślą. Pochodzi to ztąd, że umysł znakomitego historyka niezdolny jest do subtelnych odcieni. Śmiało i stanowczo chwyta on od razu

strony najwybitniejsze i silnie ujętą charakterystykę całości pragnie odcisnąć na wszystkich szczegółach. Podobna metoda jest szczególnie niebezpieczna w literaturze i sztuce, gdzie na arenie występują indywidualności wybitne, posiadające niezaprzeczenie wiele wspólnego odnośnie do miejsca i czasu, w których żyją, niemniéj przeto nastręczają obserwacyi mnóztwo stron odrębnych, niezależnych, własnych i na osobistych czynnikach natury duchowéj i materyalnéj urobionych.

Polityka zajmuje w dziele Mommsena ważne stanowisko. Nie pomija on żadnéj sposobności sądzenia ludzi i wypadków według własnych politycznych ideałów. Napotykane tu i owdzie trudności stające w poprzek jego teoryom omija, szkopuły zbyt drażliwych sumień usuwa, lub mieczem jak węzeł gordyjski rozcina. Pod tym względem „Historya Rzymska” przedstawia wiele podobieństwa do „Księcia” Machiavela. Mommsen w zgodzie z florenckim myślicielem uważa politykę za umiejętność oderwaną, dającą się ściśle zamknąć w pewnéj summie rozumowych postulatów, do których jakiemi bądź drogami dążyć potrzeba, gdy tymczasem najcharakterystyczniejszą cechę téj nauki stanowi to, że jest ona zarazem sztuką, w któréj cele, dążenia i środki działania warunkują się nietylko postępem wyobrażeń, ale i okolicznościami danéj chwili.

Mommsen przedewszystkiém ceni władzę. Chce ją mieć silną, niezależną, nieskrępowaną niczém. Ideałem dla niego przedstawia się pierwotna konstytucya starego Rzymu, którą z wielką głębokością i znajomością rzeczy rozważa. Był to niby rząd konstytucyjny dzisiejszy, ale odwrócony. W początkowym Rzymie, w zupełném sprzeciwieństwie z Anglią tegoczesną, lud panował, ale nie rządził. Był władcą tytularnym, nominalnym, do którego odwoływano się tylko w najważniejszych wypadkach. Rzeczywista zaś władza spoczywała w ręku króla, który posiłkował się dowolnie radą starców, zachowując przy sobie zupełną swobodę działania. Taki stan rzeczy przetrwał i przez długi czas istnienia Rzeczypospolitéj, aż do powstania instytucyi trybunów ludu, dla któréj też historyk niemiecki okazuje się bardzo surowym i niewyrozumiałym.

Rząd demokratyczny nie podoba się autorowi Historyi Rzymskiéj. Głosowanie powszechne wydaje mu się przyczyną wszystkich nieszczęść. Również niechętnym okazuje się Mommsen i dla arystokracyi. Senat rzymski traktuje prawie zawsze chłodno, niemal wzgardliwie, za całą zaletę przyznając mu jedynie uporczywość i zachowawczego ducha.

Tak więc po okazaniu stanowczego wstrętu do dwóch form rządu, najpowszechniejszych w starożytności, za jedynie możliwe uważa Mommsen złożenie losów kraju w ręce jednego człowieka zbawcy, któryby posiadał władzę dostateczną do zniweczenia wszelkiego oporu, do ustalenia prawa przez siłę.

Mommsen już od V wieku istnienia Rzymu, od chwili w któréj państwo zdawało się najdzielniéj kwitnąć zdrowiem i siłą, dostrzega gromadzenie się pierwszych chmur, z których ma wybuchnąć wszystko niszcząca burza. Zaleca Rzymianom powierzenie steru władcy o silnéj dłoni, któryby mógł zapewnić Rzymowi skromną ilość szczęścia możliwego.

Następują Gracchowie, dążący do władzy dyktatorskiéj w obronie niby pogwałconych praw ludu, a historyk zwraca ku nim swoje sympatye i nadzieje. Zdaje się jednak, że pomimo gorącéj zachęty ze strony p. Mommsena, Kajus Gracchus za nadto się pośpieszył, skutkiem czego opuszczony przez stronników, zwyciężony przez nieprzyjaciół, zmuszony był odebrać sobie życie w świętym lesie Furrina.

Trzecie urzeczywistnienie swego politycznego ideału odnalazł Mommsen w Sylli, który przez cztery lata sprawował w Rzymie rządy dyktatorskie w obec drżących z przerażenia obywateli. Ale budowa Sylli nie okazała się trwalszą od budowy Gracchów i runęła wkrótce po śmierci dyktatora.

Jakże wyniośle traktuje Mommsen Pompejusza, za to jedynie, że mogąc opanować najwyższą władzę, zawahał się u jéj progów! „Była to natura bojaźliwa i niestanowcza, niewolniczo przywiązana do formułek prawnych. Posiadał on co najwięcéj zdolności dobrego kaprala.” Taki wyrok wydaje autor „Historyi Rzymskiéj” na zwyciężonego pod Farsalą.

Nareszcie zjawił się Cezar, wielki Cezar, dla którego Mommsen nie znajduje dosyć słów uwielbienia. Jeżeli rysy skreślonego przezeń portretu Juliusza Cezara nie są dość wyraźne, pochodzi to właśnie z nadmiernie natężonéj struny zachwytu. Entuzyazm przysłonił rzeczywistą prawdę rzeczy. Cezar jest bohaterem doskonałym, naturą wyjątkową, feniksem ludzkości. Wyższy od Scypiona, gdyż wszelkich marzeń próżny, stawiał sobie jedynie cele możliwe do osiągnięcia; cierpliwszy był od Gracchów i więcéj niż Syllą stanowczy, a nadewszystko mniéj od Pompejusza posiadający skrupułów sumienia. Jeżeli do tego wszystkiego dodamy jeszcze znaczną dozę ironii i pogardy ludzkości, którą Mommsen bardzo w wielkich ludziach ceni, łatwo pojąć jak wysoko wzniesiony jest Cezar w oczach germańskiego dziejopisa.

Jeżeli zważymy, że Mommsen jest w ogóle surowym sędzią wielkich ludzi przeszłości, to uwielbienie dla Cezara nabierze doniosłości tém większéj. Zajmujące jest zbadanie przedmiotów, które najłacniéj przemawiają do sympatyi historyka. Lubi on nadewszystko ludzi śmiałych, stanowczych, zdecydowanych na wszystko. Ci, co jak Pompejusz, mieli słabość przywiązywania się do „formułek prawnych” nie zasługują na jego względy; woli stanowczo Cezara, który nie zważał na takie drobnostki. Zazwyczaj zwolennicy Juliusza Cezara mniemają, że zaprzeczenie udziału tego męża w spisku Katyliny jest usługą oddaną jego pamięci i usiłują dowieść, że żądza panowania i ambicye osobiste obudziły się w nim dopiero w ostatnim okresie zawodu. Mommsen jest przeciwnego zdania. Sądzi, że przypisywanie podobnych delikatności byłoby raczéj uwłaczającém dla Cezara. „Cezar—dodaje, dążył od samego początku do panowania. Z chwilą wejścia w życie publiczne zamiar jego był ustalony; dla dokonania go mieszał się we wszystkie spiski, mogące osłabić arystokracyę, jakiejkolwiekby one były natury, wspierał je i starał się z nich korzystać.”

Tak więc umysły przedsiębiercze, czynne, zdające sobie jasno sprawę ze swych celów i dążące do nich prosto, śmiało, bez wahania—jedynie zdolne są wzbudzić admiracyę Mommsena. Potrzeba nadto, aby umiały się ustrzedz wszelkiéj ideologii lub marzycielstwa. Marzenia zgubiły Scypiona, a Napoleon I nie był od nich po części wolny. Cezar przewyższa obu umiejętnością stawiania sobie celów pozytywnych.

Absolutyzm teoryj politycznych Mommsena zdradza się i w drugim jeszcze kierunku, w ślepém uznaniu dla wszelkiego powodzenia. Historyk niemiecki korzy się przed siłą gdziebądź ją spotyka, słabość zaś bezwarunkowo potępia. Każdy naród zwyciężony traci od razu jego sympatyę i wywołuje gniew, jeżeli nie umiera dość wcześnie, jeżeli opóźnia chwilę zupełnego zniknięcia z widowni dziejowéj.

„Nie przywiązywałbym tak wielkiéj wagi do tych wszystkich zarzutów — mówi p. Boissier w zakończeniu swego studyum o Mommsenie — gdyby to były tylko przekonania osobiste pisarza. Ale dzieło p. Mommsena zdaje się posiadać rozleglejszą doniosłość. W téj książce przyjętéj tak hucznemi oklaskami, cała generacya się odbija. Niemcy przejęły się wszystkiemi jéj zasadami. Przymioty, które historyk najwyżéj ceni u jednostek i ludów, są właśnie też same, które panują a przynajmniéj panować pragną w Niemczech współczesnych. Podobnie jak p. Mommsen, Niemcy zwracają wielką uwagę na interesa materyalne, zajmują się przedewszystkiém praktyczną stroną życia, ceniąc rzeczy według korzyści, jakie z nich odnieść się dadzą. Za długo już mówiono, że Niemcy żyją fantazyą i złudzeniami; nakoniec znudziło im się uchodzić za mgliste i rozmarzone, zapragnęły więc dowieść w czynach, że umieją rachować. Uczyniły to nawet z pewnym rodzajem kokieteryi i fanfaronady, podobnie jak ci młodzi ludzie, którzy zadziwiają cynizmem swych słów, aby przez to okazać się dojrzałymi, i pozują na Juanów dla tego jedynie, aby ich przypadkiem nie wzięto za Cherubinów. Widzieliśmy, jak Germania olśniła się własném powodzeniem; zaczęto wyłącznie uwielbiać siłę i przyznawać jéj pierwszeństwo. Niektórym z nas co przywykli patrzeć na Niemcy oczyma pani Staël, wydało się trudném do pojęcia, jakim sposobem pasterze tak prędko zmienili się w wilków? Możeby to łatwiéj zrozumieli, gdyby czytali wcześniéj dzieło p. Mommsena i wiedzieli, że zasady w niém zawarte obiegały przez lat wiele wszystkie uniwersytety wielkiego narodu.”

GŁÓD W TEHERANIE.

Jedną z największych plag społecznych, jest niezaprzeczenie brak środków wyżywienia się mieszkańców, pochodzący zwykle z zaniedbałéj administracyi kraju lub prowincyi.

W upłynionych wiekach często głód dziesiątkował ludność Europy, ale w skutek ułatwionych ostatniemi czasy komunikacyj dróg żelaznych i paropływów, oraz rozwoju nauk i umiejętności ekonomicznych, statystycznych i innych, nie może się już tak dalece srożyć jak niegdyś. W Azyi jednakże lub Afryce do dziś dnia jeszcze chybione plony lub przewroty polityczne sprowadzają głód na okolicę z całymi jego następstwami, jak to niedawno miało miejsce w Persyi, gdzie skutkiem zeszłorocznéj wojny umarło w r. b. z głodu przeszło 100,000 osób. W Teheranie plaga ta najsilniéj grasuje, tysiące zgłodniałych zalega ulice, wyczekując co chwila śmierci — daremnie szukając dla siebie środków wyżywienia.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 29 Сентября (10 Октября) 1872 г. Redaktor, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.